

XX Kongres Syjonistyczny

Pięć przemówień

Prez. Weizmanna

Pierwszy tydzień obrad XX Kongresu ma się już ku końcowi — gdy piszemy te słowa, — a dotąd jedną treścią referatów i koreferatów, przemówień pro i contra jest, jak powszechnie przewidywano, sprawa naszego ustosunkowania się do projektu restytuowania Państwa Żydowskiego na części terytorium Palestyny przedjordanijskiej.

Inaczej też być nie mogło. Nasze historyczne losy zechciały, byśmy się niespodziewanie znaleźli oko w oko z zagadnieniem, które jest samą kwintesencją wielkiej problematyki syjonistycznej, więc: sprawą „być albo nie być” syjonizmu i nadziei wyzwoleniczych naszego narodu.

Ta niebywała powaga sytuacji sprawiła, że jeszcze nigdy w dziejach 40 lat parlamentaryzmu syjonistycznego, na żadnym z odbytych dotąd 19 kongresów nie było takiej wyjątkowej atmosfery, jak na tym jubileuszowym, a zarazem przełomowym i decydującym XX Kongresie. Panują przecież krańcowe różnice zdań, toczy się nawet ostra walka o rzeczy nie byle jakie, ale o przyszłość narodu i państwa i — o dziwo! — nie ma roznamietnienia, nie ma nienawiści, nie ma zacieźnienia. Jest tylko dużo, bardzo dużo wzajemnej dobrej woli, jest też gorące pragnienie znalezienia wspólnej, ale zarazem najlepszej drogi. Póki zaś drogi tej nie znaleziono, toczy się, naturalnie walka o nią, o jej kierunek. Jest to tym razem w pełnym sensie naszego hebrajskiego powiedzenia — „milchama l'szem szaim” — wojna w imię niebios.

Walke, albo ściślej, **przekonywanie**, rozpoczął ten, który dziś zasiada w fotelu Teodora Herzla, a któremu obecny jego oponent, Usyszkin życzył, by rychło zasiadł w fotelu Prezydenta Zjednoczonego Państwa Żydowskiego, w jego stolicy w Jerozolimie: **Chaim Weizmann**. Przekonywanie Weizmanna było tym razem inne od jego polemicznych wystąpień na dawnych Kongresach, w okresie walki wewnętrznej o metody polityki wobec mandatariusza i o rozszerzenie Agencji Żydowskiej. Wtedy Prezydent zaangażował się całym swym temperamentem politycznym w walce wewnętrznej, nie cofając się przed użyciem ostrych często cięć w stosunku do swych syjonistycznych oponentów. Dziś tylko **przekonywał**. Spokojnie, rozważnie, naprawdę **po przyjacielsku**.

Nie żałował też myśli, słów i czasu. Pisaliśmy te słowa jeszcze przed zamknięciem, debaty politycznej, a już usłyszeliśmy pięć przemówień Prezydenta. Były to mowy wygłoszone przed różnymi audytoriami w różnym charakterze, różnią się też od siebie doborem argumentów, tonem i treścią. Wszystkie służą jednak jednemu celowi — przekonaniu.

Pierwsza mowa została wygłoszona dla ściślejszych towarzyszy frakcyjnych Prezydenta, na konferencji frakcji **światowego Zjednoczenia Ogólnych Syjonistów**. Była to mowa najbardziej intymna, z której dowiedzieliśmy się, że o koncepcji podziału poinformowano już Prezydenta dnia 15 stycznia b. r. na posiedzeniu Komisji Królewskiej w Jerozolimie. Ani wtedy, ani też w trakcie sensacyjnej rozmowy w Nahalal z jednym z członków Komisji Peela, prof. Weizmann nie udzielił odpowiedzi, określającej stosunek do planu podziału, nie mając uchwał powołanych do decydowania w tak zasadniczych sprawach instancji syjonistycznych. Oświadczenie to przygważdża złośliwą plotkę niektórych, mniej odpowiedzialnych, elementów opozycyjnych, że Egzekutywa udzieliła swego zgody jeszcze przed Kongresem.

Za planem restytuowania Państwa Żydowskiego bodaj na części terytorium pa-

lestyńskiego przemawiają — według Prezydenta — dwa zasadnicze względy: 1) cywilizacja żydowska może się rozwijać tylko wśród warunków suwerenności żydowskiej; 2) niedola żydowska w diasporze znalazłaby ujście w postaci masowej „alii”. Należy więc w dziedzinie terytorialnej wywalczyć takie warunki, któreby umożliwiły w ciągu najbliższych lat skoncentrowanie dwóch milionów Żydów w Państwie Żydowskim.

Wzruszające było zakończenie frakcyjnej mowy Prezydenta: „Przez wiele lat zmuszano mnie, bym wypowiedział mistyczne słowo „Judenstaat”, ale broniłem się przeciw temu. Dziś jednak, gdy słowo to zostało już wypowiedziane, nie można już go cofnąć”.

Druża mowa prof. Weizmanna — to inauguracyjne przemówienie XX Kongresu. Jej pierwsza część poświęcona była syntetycznemu ujęciu zdobycy syjonizmu politycznego na przestrzeni czterdziestu lat, obecnej niedoli narodu żydowskiego i krótkiemu rzutowi oka na najdonioślejsze wydarzenia ubiegłego dwulecia rządu syjonistycznego. W części drugiej Prezydent zatrzymał się znowu na kapitalnej kwestii naszej aktualności politycznej, nie rozwijając jednak i tym razem zagadnienia w całej jego rozciągłości.

A więc sprawozdanie Komisji Królewskiej, przy wszystkich swych błędach, winno spotkać się z naszym szacunkiem, żaden bowiem z dotychczasowych dokumentów podobnego charakteru nie zawierał tyle sympatii, uznania i zrozumienia dla żydowskich ideałów i zdobyczy.

Po tym politycznym komplemencie następują jednak słowa ostrej krytyki. Błąd zasadniczy sprawozdania, to sprzeczność pomiędzy analizą problemu, a wnioskami. Najostrzej zaś protestujemy przeciw podchwyceniu przez rząd „alternatywnej” propozycji ograniczenia „alii” do 1000 osób miesięcznie, bo to stoi w rażącej sprzeczności z Mandatem.

Ale mimo tych niekonsekwencji, mimo wysunięcia argumentu o niewykonalności Mandatu, z czym nigdy nie możemy się zgodzić — w sprawozdaniu Komisji rozbrzmiewa nowy ton: **powrót do snu Herzla z przed czterdziestu laty o Państwie Żydowskim w Palestynie**.

Tyle dwie pierwsze mowy Prezydenta. W wielkim pochodzie przekonywania spełniły one jakby rolę straży przedniej. Trzon armii przekonywania — by trzymać się tego porównania ze sfery pojęć wojskowych — zawarty był w **trzeciej mowie** prof. Weizmanna, w referacie politycznym, wygłoszonym na drugim plenarnym posiedzeniu Kongresu.

Było to „jacuse!” polityczne w wielkim stylu. Ostre, nieprzebiegające w słowach, nieszczędną zgrzytliwej ironii (Dżenin zwięźliżył Downing-Street!) i niczego nieukrywające oskarżenie Mandatariusza, jakiego dotąd nie słyszeliśmy z ust Weizmanna i, jakiego w gruncie rzeczy nie potrafili w tak ważki i przekonujący sposób sformułować nasi najwięksi opozycjoniści i „ekstremiści”. Tak, jak cierpliwy, przyjacielski i wyrozumiały był tym razem Prezydent wobec swych oponentów, tak ostry i krytycznie ocenił błędy i grzechy Mandatariusza.

Ale mąż stanu, prawdziwy mąż stanu, a więc taki co nie poprzestaje na napisaniu artykułu i odłożeniu pióra, na wygłoszeniu przemówienia i otarciu potu z czoła, ale na swych barkach dźwiga ciężar decyzji i ciężar odpowiedzialności za przyszłość — nie może ograniczyć się do wygłaszania filipik: musi powiedzieć czego żąda. Weizmann powiedział to krótko, szczerze, po męsku: **„W pełnej świadomości odpowiedzialności odpowiadam ja, którego wystawiliście na czele ruchu: tak Wierzę, że udzielicie tej samej odpowiedzi!”**

Co oznacza to „tak”? „Powinniśmy przyjąć projekt stworzenia Państwa Żydowskiego w części Palestyny, niezależnie

od tego, czy będzie to piąta, dziesiąta, czy trzecia część Palestyny”. Kryterium? Projekt ułatwi stworzenie pełnego, zdrowego życia żydowskiego i ulży bodaj w części niedoli mas żyd. w diasporze. Argument za przyjęciem? **Możliwość przesiedlenia 2—3 milionów Żydów do Palestyny**.

Argument po argumentie, rację po racji wysuwał prof. Weizman w swych pięciu mowach. Stopniowo, logicznie, myśl po myśli. Po zasadniczych racjach politycznego referatu, usłyszeliśmy argumenty praktyczne w **czwartej mowie** Prezydenta, wygłoszonej w trakcie debaty politycznej. Na argumenty zwolenników walki o utrzymanie mandatowego „status quo” dr. Weizmann odpowiedział: „Sądzę, że jasno się wypowiem, gdy stwierdzę, że na tej nowej drodze zdofamy urzeczywistnić większą część aspiracji mandatowych”. Następnie prosty przekonywujący rachunek:

„Wyobraźcie sobie, że gdybyśmy prowadzili naszą pracę pod reżimem mandatowym i wprowadzilibyśmy do Palestyny co roku 60.000 Żydów po 15 latach mielibyśmy w kraju większość, lecz również wówczas byłby skolonizowany ten sam obszar, który obecnie jest nam ofiarowany. Mielibyśmy kraj żydowski, o mniejszości arabskiej sięgającej 45 proc.

Podział kraju nastąpił by wówczas automatycznie: Żydzi mieszkaliby w dolinach, zaś Arabowie zajęliby zaplecze, bez specjalnego podkreślenia podziału. Nasuwa się więc pytanie, czy projekt Peela daje nam możność prowadzenia żydowskiej imigracji na znaczną skalę? W moim głównym — przemówieniu wspominałem o 2 milionach Żydów. Liczba ta nie jest dość dokładna. Jeśli jednak powiemy, że będziemy mogli wprowadzić do Palestyny dwa miliony Żydów w przeciągu 20 lat, t. j. 100.000 Żydów rocznie, będzie to imigracja, o której my syjonisci nigdyśmy nawet nie marzyli”. Żeby to osiągnąć, należy wywalczyć zmiany w projekcie: 1) przyznanie Żydom nowej Jerozolimy, 2) faktyczna suwerenność, 3) ograniczenie mandatu nad czterema miastami do 2—3 lat, 4) własny port w Tel-Awiv, 5) uregulowanie spraw finansów, cła, kurytarzy, 6) sami kierujemy imigracją. Wreszcie sprawa najważniejsza: **terytorium**. Prezydent powiedział:

„Nie jest rzeczą nową, że państwo żydowskie, jest niewielkie. Sprawa najważniejszą jest jednak, czy stanowi ono rozwiązanie wielkich problemów, które dręczą żydostwo. Czy proponowany obszar może wchłonąć w okresie najbliższych 20—25 lat po 50—60 tysięcy Żydów rocznie?”

Powiedzieliśmy sobie, że gdyby z pośród trzech milionów dunamów ziemi nawodnionej w okolicy Beisan i Hule mogliśmy nabyć w ciągu 20 lat milion dunamów, i gdybyśmy potrafili skolonizować na tych gruntach 2500 rodzin rocznie, zaś w miastach 7500 rodzin razem więc 100.000 rodzin rocznie (lub 50.000 osób) uznalibyśmy to za wielki sukces.

Gdy wypłynął projekt podziału, musieliśmy sobie powiedzieć: pod względem kolonizacyjnym widzimy tylko zalety — przeszło milion dunamów ziemi, być u siebie w domu i mieć możność akcji przesiedleńczej”.

Konkluzja? „Nie chcę mówić o wadach i zaletach planu podziału, uczynię to pod koniec debaty. Pragnę tylko zaznaczyć, że otwierają się dla nas większe niż kiedykolwiek szanse pokojowego współżycia z Arabami. Mamy o co prowadzić pertraktacje i to jest bodaj największą zaletą całego planu”.

Wreszcie **piąta mowa**, wygłoszona znowu na naradzie Frakcji Zjednoczenia Światowego Ogólnych Syjonistów:

„Nie mam już siły zebrać pieniądze. Chciałbym dożyć dnia, gdy będziemy otrzymywać pieniądze przekazami pocztowymi.

Wierzę, że w ciągu nadchodzących 20 lat będzie można osiedlić w Państwie Żydowskim od półtora do dwóch milionów Żydów”.

Na pytanie jednego z delegatów, czy Anglia poważnie zamierza urzeczywistnić plan Państwa Żydowskiego, Prezydent odpowiedział: **„Ja sądzę, że tak!”**

Opozycja jakiej jeszcze nie było

Mieliśmy już na przestrzeni 40 lat dziejów syjonizmu politycznego nie jedną walkę wewnętrzną i nie jedną opozycję. Wystarczy tylko wymienić opozycję „frakcji demokratycznej” z Weizmannem na czele, opozycję „Cyjonej Cyjon” z Usyszkinem, opozycję Brandeisa, wreszcie w okresie pomandatowym: opozycję radykalną Grünbauma i rewizjonistyczną Żabotyńskiego. Były to opozycje radykalne, konsekwentne i zaciekle. Ich wystąpienia były z reguły dobrze przygotowywane, ich argumenty przemyślane i wypływające z całych systemów teoretycznych, ideologicznych i politycznych. Walka zaś była niezmiernie dramatyczna i zaciepła. Że tylko odwieśmy sobie w pamięci oklaski walki o rozszerzenie Agencji Żydowskiej!

Dzisiejsza opozycja jest zupełnie inna. Różni się od dawnych opozycji na korzyść ale też i na niekorzyść. Jest przede wszystkim wyrozumiała dla stanowiska strony przeciwniej, stara się ją zrozumieć, więcej nawet: chce być przez nią przekonana, chce, by rozwiąły się jej obawy, zastrzeżenia czy skrupuły. Stąd kulturalny — mało — przyjacielski ton polemiki. „Kochany Doktorze Weizmann!” nie schodzi z ust Usyszki na jego wielkim koreferacie politycznym. A gdy przywódcą obecnych „Neinsagerów” pragnął zaakcentować niepodzielność Palestyny, która jest dlań dogmatem ponad wszelkie racje czy wymagania realnej polityki, to nie czyni tego w mniej przyjacielskiej, kulturalnej i prawdziwie pięknej formie, jak życząc profesorowi Weizmannowi, by rychło zasiadł w fotelu Prezydenta zjednoczonego Państwa Żydowskiego — w jego stolicy, w Jerozolimie.

Słabą stroną opozycji jest jednak rażąca dysproporcja pomiędzy mnogością środków uczuciowo-deklaracyjnych, którymi zbyt rozrzućnie szafuje, a znikomą argumentów politycznych, rozumowych i politycznych, którymi operuje. Stosuje się to nie tylko do wspaniałego zresztą i naprawdę pięknego przemówienia Usyszki, oclowo zresztą ujętego w formy deklaracji ideowej, ale w większej mierze do przemówień oponentów z poszczególnych frakcji kongresowych. To co powiedziano w debacie politycznej jest znane i na ogół przez nikogo nie kwestionowane. Nie odpowiedziano natomiast na liczne argumenty prof. Weizmanna i innych rzeczowników wyzyskania szansy historycznej, w obliczu której niespodziewanie się znaleźliśmy.

Nie to jest jednak winą opozycji, ile raczej koniecznością, związaną z pozycją, którą sobie wybrała. Powtarzamy jednak i akcentujemy: **takiej opozycji jeszcze w ruchu naszym nie mieliśmy**. Jest to opozycja szczerą, uczciwą i szukającą zgody, a nie wiecznej walki. Z taką opozycją łatwo też będzie uzgodnić stanowisko, by w obliczu historycznych wydarzeń XX Kongresu Syjonistyczny zajął jednolite stanowisko.

List Ministra

Ormsby Gore'a

Uczestnicy i obserwatorzy kongresów syjonistycznych w okresie pomandatowym dobrze pamiętają ile zawsze polityczno-prestiżowej przykrości mieliśmy w związku z tak konwencjonalną pozornie kwestią, jak sprawa powitania Kongresu przez dyplomatycznego przedstawiciela mandatariusza. Tak się bowiem zawsze składało, że w czasie obrad Kongresu poseł brytyjski przy rządzie szwajcarskim znajdował się na urlopie, bądź też musiał gdzieś nagle wyjechać a Kongres witał inny, niższy w hierarchii, przedstawiciel, poselstwa. Opozycja ekstremistyczna nie omieszkła też nigdy wyzyskać tej prestiżowej sprawy dla powiększenia arsenału argumentów w krytyce linii politycznej ówczesnego kierownictwa syjonistycznego.

W tym roku ambasador był znowu nieobecny, ale za to przebywający w Genewie na sesji Komisji Mandatowej L. N. brytyjski minister kolonii, Ormsby Gore, uznał za stosowne wysłać list powitalny na ręce Prezydenta Weizmanna. Między wierszami listu można było znaleźć uznanie roli Kongresu i wpływu jego decyzji na dalsze losy koncepcji reformy statutu politycznego Palestyny.

Drobna rzecz konwencjonalno-prestiżowa, ale jak charakterystyczna dla istoty przemian politycznych, które dokonują się po ogłoszeniu sprawozdań komisji lorda Peela.

Geografia i statystyka syjonistyczna

Na drugim plenarnym posiedzeniu Kongresu dr. Groneman, przewodniczący Sądu Kongresowego złożył sprawozdanie z rezultatów akcji szeklowej i wyborczej, dając ciekawy obraz liczbowego i terytorialnego wzrostu ruchu syjonistycznego. A więc w ciągu ubiegłego dwulecia rozpowiększono rekordową ilość 1.228.000 szekli. Uprawionych do głosowania było 927.000 syjonistów w 42 krajach. Wybory odbyły się w 16, przeważnie większych, krajach. W 26 krajach głosowanie się nie odbyło, albowiem w obliczu powagi sytuacji zewnętrzno-politycznej syjonizmu poszczególne frakcje zawarły z sobą kompromis wyborczy, wysuwając jedną, wspólną listę kandydatów, która też przeszła przez oklamację.

Kraje, w których rozpowiększono syjonistyczne „szekle” obejmują prawie całą kulę ziemską. Szekel dotarł nawet do takich krajów, jak Singapore, Mandżuko, Ekuador i Chiny.

Do urn wyborczych poszło 400.673 wyborców. Z wyborów i ze wspólnych list wybrano 476 delegatów.

Bazyła 1897 — Bazyła 1937

Dzień powszedni i święto — sucha mowa polityki realnej i romantyczna poezja ideałów — twardy wyśitek i porwy entuzjazmu, oto sprzeczne, lecz wzajemnie uzupełniające się i harmonijnie się ze sobą zlewające elementy naszego ruchu i naszego Kongresu.

W całej jasności zarysowały się też one w przebiegu obecnego Kongresu — Kongresu jubileuszowego i Kongresu historycznej decyzji. Z gwaru obrad zurychskich Kongres in corpore przeniósł się do Bazylei, by święcić podwójny jubileusz żydowskiego ruchu narodowo-wyzwoleńczego: 20 kongresów i 40 lat syjonizmu politycznego.

Nie ma takich słów, takich określeń, takich przenośni, któreby bodaj w części zdołały oddać nastrojów serdecznego wzruszenia i entuzjazmu, który zapanował owej niedzieli, gdy XX Kongres przeniósł się do sali obrad I Kongresu w bazylejskim „Casinie”.

Usyszkin, który przewodniczył tej uroczystości, otoczony sędziwym gnosem weteranów syjonistycznych, uczestników I Kongresu, był nieociekany. Hold, który oddał Wielkiemu Orłowi z Wiednia, co przed czterdziestu laty pobudził do lotu naród żydowski, bilans czterdziestolecia naszych zmagani i wysiłków — utrzymanie były na najwyższym poziomie dostojęstwa, powagi i gorącego uczucia.

Najwspanialsza i najdramatyczniejsza była scena, gdy na salę Kongresu wkroczył oddział młodzieży syjonistycznej, niosąc sztandar II Kongresu. Słowa Usyszki, zwrócone do młodzieży, mimo, że tylko z daleka i na podstawie papierowych sprawozdań śledzimy przebieg obrad Kongresu, wycisnęły nam łyż z oczu: **„Zachowajcie ten sztandar do czasu, gdy przenieście go do Żydowskiego Parlamentu w Jerozolimie!”**

Łzy, łzy i łyż płyną z oczu każdego Żyda, gdy czyta te słowa. Łzy serdecznego wzruszenia, łyż bolesnej radości, łyż namiętniejszej nadziei...

Pełnomocnictwa

Tymczasem nie mamy jeszcze żydowskiego parlamentu w Jerozolimie, ale nasz prowizoryczny parlament na wygnaniu w Zurychu zachowuje się tak, jak przystało prawdziwemu parlamentowi w prawdziwym państwie.

Egzekutywa, nasz rząd syjonistyczny, przyszła z prośbą o pełnomocnictwa do rządu z mandatariuszem, a Kongres, nasz syjonistyczny parlament koncentruje swą debatę polityczną wokół tej konkretnej kwestii. A więc tak, jak w typowym parlamencie europejskim?

Nie zupełnie. Tu nie ścierają się ze sobą tylko prestige rządu i prestige parlamentu, tu nie zazdrość o prawa ciała ustawodawczego jest głównym skrupulem opozycji, tu treścią pełnomocnictw nie mają być tylko takie a takie akty ustawodawcze, któreby uregulowały pewne konkretne sprawy prawne, polityczne, czy ekonomiczne. Tu chodzi o większe rzeczy. Zgoda na pełnomocnictwa ma być zarazem zgodą na restytuowanie Państwa Żydowskiego na części terytorium Palestyny po dwóch tysiącach lat od utracenia przez nas Państwa Żydowskiego na całym terytorium Palestyny.

Czy był już kiedyś gdzieś na świecie taki parlament, któremu przypada w udziale tak historyczna rola. Dlatego dyskusja o pełnomocnictwach jest tak długą, tak dramatyczną i tak poważną.

APOLINARY HARTGLAS

J A S K Ó Ł K I

Z obowiązku dziennikarskiego należy zanotować, że od pewnego czasu ujawnia się pewien zwrot na lepsze w traktowaniu sprawy żydowskiej u nas.

Początkowe grobowe milczenie lub nawet przyprochobne potakiwanie ze strony jednostek lepszych temu, co się dzieje u nas z Żydami, ustępuje powoli miejsca wystąpieniom krytycznym. Co lepsze głowy i co szlachetniejsze serca zaczynają — początkowo w pojedynkę i nieśmiało, a stopniowo już śmieiej i w zbiorowych wystąpieniach — protestować przeciwko zoologicznemu antysemityzmowi, wiecznemu nierównemu traktowaniu Żydów i ich eks-terminacji. Coraz częściej spotykamy się z publikacjami lub słyszymy referaty fachowców i działaczy pół-urzędowych, dowodzące za pomocą danych statystycznych, że nie stragan i usunięcie Żydów z handlu potrzebne są narodowi polskiemu. Niestety, milczą jeszcze instytucje i zrzeszenia społeczne, — o ile same nie uprawiają antyżydowskiej polityki, — ale

mnożą się za to fakty, że włościanie stają w obronie Żydów i księża z ambon zaczynają głosić słowa prawdy i miłości chrześcijańskiej, Powoli zaczyna się wylaniać z trujących oparów i z pokładów błota prawda, że naród polski nie utracił swojej szlachetności i tolerancji, jak usiłovali wmówić światu rozmaici rycerze z pod znaku ONR-u, i z czasem strząchnie z siebie jarzmo prowodyrów, którzy usiłovali go conąć o osiem wieków wstecz. Coraz jaśniejszym się staje, że cała antysemitka nagonka lat ostatnich jest dziełem tylko pewnej grupy krzykaczy, oglupiających lud polski, ale rdzeń narodu pozostał zdrowy i czysty. Zdecydowane i przychylnie wystąpienie czynników urzędowych z latwością mogłoby położyć kres tej hańbie, jaka doprowadziła do Brześcia i do Częstochowy.

Pewne otrzeźwienie daje się zauważyć i w sferach rządowych. Komunikaty prasowe doniosły niedawno, że p. premier Składkowski w rozmowie z żydowskimi

posłami wypowiedział się przeciwko bojkotowi i pikietom. Zaatakowała go z tego powodu, prasa „narodowa”. Fakt, że zarówno komunikat żydowski, jak i ataki antysemitki prasy p. premier pominął milczeniem, pozwala nam wnioskować, że komunikat o wypowiedzeniu się p. premiera przeciwko bojkotowi i pikietom odpowiada rzeczywistości. Gdyby tak nie było — nastąpiłoby urzędowe zaprzeczenie.

Skoro tedy już i p. Premier ma dość bojkotu i pikiet, — to jest to niewątpliwie krok naprzód. P. Premier nigdy nie był uważany za zasadniczego lub programowego antysemitę. Uległ On jednak też ogólnej psychozie, czemu w swoim czasie dał wyraz swymi wystąpieniami o walce gospodarczej, swymi słynnymi „owszem” i „natomiast”. Może słowa jego były źle rozumiane, — ale społeczeństwo żydowskie miało wielki żal do niego. P. Premier stanął na stanowisku, że wolno w państwie tolerować nie tylko współzawodnictwo ekonomiczne pomiędzy po-

szczególnymi grupami narodowościowymi, ale nawet — gdy chodzi o Żydów — i walkę, byle bez czynów gwałtu. Nie uwzględnił p. Premier, na co od razu wskazywaliśmy, że walka nie da się utrzymać w jakichś platonicznych granicach, że hasło bojkotu musi prowadzić do pikiet, pikiety do czynnego atakowania Żydów i kupujących u nich chrześcijan, atakowanie — do scysj i bójek, bójki do ekscesów i pogromów, a wszystko razem — do anarchii, do aktów nieposłuszeństwa władzom, do bomb i zamachów. Jest to jak lawina, którą wywołuje w górach drobny, strącony kamyczek. Dopiero Myślenica i bomba w Świdrach Małych, przedzielone Brześciem i Częstochową oraz oburzeniem w Ameryce — zwróciły uwagę na słusność naszych ostrzeżeń. I teraz już p. Premier uznaje niedopuszczalność pikiet i „strefy osiedlenia” na targu w Kaliszu. Niestety, tylko Kalisz jakoś nie uznaje jeszcze słusności zdania p. Premiera i robi swoje nadal. Trudno, — posiew anarchii zaszedł

zbyt daleko, by tak łatwo i od razu można go było wyplenić...

Negatywny stosunek do bojkotu zaczyna się ujawniać i wśród niższych organów władzy. Wprawdzie w postaci nieco oryginalnej, nawet komicznej, bo ... w stosunku do odwetowego bojkotowania ludności chrześcijańskiej przez Żydów. Wypadki takie miały miejsce w Wilnie, gdzie ludność żydowska oddawna jest bardziej wrażliwa na niesprawiedliwy stosunek do siebie i bardziej uzdolniona w kierunku organizowania się i obrony swych praw. Przed kilku tygodniami gazety doniosły o aresztowaniu w Wilnie pewnej żydówki za rzekome zaatakowanie przez nią innej kobiety żydowskiej, która czyniła zakupy w chrześcijańskim sklepie, t. zn. za dokonanie takiego czynu, jakiego stałe dopuszczają się pikieciearze „narodowi”. Stąd wynika, że władze uznały pikiety za niedopuszczalne, — wprawdzie narazie tylko, o ile chodzi o pikiety żydowskie, a nie antyżydowskie. Ostatnio znowu prasa doniosła, że w Wilnie aresztowano żydowskiego doróżkarza, Berla Kasrielesa, a następnie jeszcze dwóch, za rzekome czynienie wyrzutów Żydowi, że chciał jechać chrześcijańską doróżką, t. zn. za agitowanie słowne za bojkotem.. Dowodzi to, że władze uznały, iż agitacja bojkotowa w stosunku nie do jednostki, która zawiąła czymś konkretnym, lecz w stosunku do pewnej kategorii obywateli tylko dlatego, że się do tej kategorii należy — jest wprawdą państwie niedopuszczalna. Wprawdzie — znowu tylko, gdy przedmiotem akcji bojkotowej są chrześcijanie, a nie Żydzi.

Nie wchodzimy tu w rozważanie merytorycznej słusności samych zarzutów. — Sąd to zbada. Nie poruszamy też kwestii, że to były akty bojkotu odwetowego, a więc poniekąd obrona konieczna całej grupy obywateli przeciwko agresji antysemitki, — to zapewne wysuną obrońcy w sądzie. Ważnym jest dla nas fakt: wreszcie uznano, że bojkot i pikiety są pogwałceniem prawa. Gdyby tak zechciano się od razu i ucciwie wyczytały w artykule 1 ust. 1, 4 ust. 2, 7 ust. 2, 9 i 10 konstytucji, i w art. 156 kod. karn. oraz art. 28 i 29 Prawa o Wykr., toby od razu zrozumiano, że bojkot i pikiety, agitacja bojkotowa i jej tolerowanie stanowią przestępstwo. Ale dopóki szło tylko o Żydów — tego nie chciano zrozumieć. Dopiero gdy się rozpoczyna, czy rozpoczął w Wilnie odwet żydowski — zaczyna się to rozumieć. Sam fakt jednak zrozumienia, abstrahując od spóźnienia i od kary, jaka może dotknąć aresztowanych Żydów, jest zjawiskiem dodatnim, bo dowodzi przebudzenia się chwilowo uspiętych instynktów praworządności. Chyba że w praktyce się okaże, że ta praworządność też obowiązuje tylko Żydów, ale nie chrześcijan, — ale w takim razie byłoby to tylko nowe ograniczenie, które usprawiedliwiło by nowe protesty zagranicznej opinii żydowskiej i ogólnej. Nie chcemy w to jednak wierzyć i sądzimy, że podobnie, jak anarchia się zazwyczaj zaczyna w pewnych krajach od stosowania bezprawia względem Żydów, tak też i poczucie prawne zaczyna się rozwijać od zrozumienia bezprawia, gdy je stosuje w odwecie Żyd. Do takiego przypuszczenia uprawnia nas oświadczenie p. Premiera w stosunku do bojkotu i pikiet w Kaliszu. A fakt, że Kalisz trwa nadal w anarchii i nic sobie z oświadczeń p. Premiera nie robi, napawa nas nadzieją, że p. Premier wreszcie cierpliwość straci i DA ROZKAZ, by przerwać bojkot i walkę, a wziąć się do ucciwego i lojalnego współzawodnictwa. Wyjdzie na tym lepiej i naród polski, a raczej jego klasa średnia, gdy będzie musiała zdobywać placówki pracą, a nie demagogicznym pyskactwem.

Dlatego też nawet tych dwóch faktów wileńskich nie uważamy za akty represji w stosunku do Żydów, lecz — narówni z oświadczeniem p. Premiera w sprawie Kalisza i z wystąpieniami co lepszych Polaków — za pierwsze jaskółki budzące się z powrotem w Polsce poczucie praworządności. Oby tylko powrót mroźów nie zabił tych jaskółek i naszego optymizmu.

Leopold Halpern

Dekompozycja obozu rządzącego

Nie wielu zapewne w spośród politycznie aktywnych lub polityką się interesujących przypomina sobie w tej chwili, że za jaki tydzień, t. j. 21 sierpnia, przypadnie „mała” rocznica ważnego wydarzenia w polskiej polityce wewnętrznej: 6 MIESIĘCY, odkąd p. ADAM KOC ogłosił swą „DEKLARACJĘ IDEOWO - POLITYCZNA” i proklamował OBÓZ ZJEDNOCZENIA NARODOWEGO. Zapoczątkowana formalnie dnia 21. lutego 1937 roku nowa polityka wewnętrzna t. zw. „sanacji”, miała przed sobą dwa konkretne zadania: 1) Położyć kres „dekompozycji” — by użyć trafnego powiedzenia p. k. Międzyńskiego — w łonie obozu rządzącego i 2) połączyć się z elementami prawniczo-nacjonalistycznymi w ramach organizacyjnych nowego obozu, a więc możliwie ponad głowami przywódców „narodowych” oraz ponad ich opozycyjnymi partiami.

Po sześciu miesiącach akcji zmierzającej w tym kierunku — zwolennicy, przeciwnicy i obserwatorzy „Ozonu” mają już pełne prawo wydania sądu, czy i w jakiej mierze zostały osiągnięte oba wyżej sformułowane cele nowej organizacji obozu rządzącego.

Czy więc zastosowanie nowych metod przez obóz „sanacyjny” doprowadziło do usunięcia dekompozycji w jego szeregach? „Pogłębiło to stan dekompozycji wśród piśsudczyków — brzmi odpowiedź — równowagę drobne zdobyte, po niejakiem zaś czasie wszystko wróciło do dawnego stanu rzeczy. Terenem ekspansji dla prac organizacyjnych zjednoczenia pozostały w zasadzie ugory po B. B. W. R. i po dawnemu aparat administracyjny z „przyległościami”. Czyja jest ta krótkka, dobitna i surowa odpowiedź? Chyba jakiegoś zaciekłego i złośliwego opozycjonisty demokratycznego, patrzącego na rzeczywistość tak, jakby chciał ją widzieć? Skądże znowu! Tak mówi publicysta „sanacyjnego” dwutygodnika „MYŚL POLSKA”, stojącego konsekwentnie i entuzjastycznie na gruncie koncepcji „konsolidacyjnej”. I ma tym razem najzupełniejszą rację.

Bo proszę tylko rozrzeć się dookoła po „ugorach” obozu „sanacyjnego”. Wszędzie spory wewnętrzne — wszędzie walki personalno - koteryjno-grupowe, wszędzie ogromne i wciąż potęgujące się niezadowolenie. Na pierwszy ogień poszły sprawy najbardziej zapalne, a dla koncepcji „zjednoczenia” stanowiące najlepszy bodaj kamień przeczepy — kwestie rolnicze i chłopskie. Bo w deklaracjach łatwo i wdzięcznie jest mówić o solidaryzmie społecznym, daleko trudniej wszakże jest realizować go w gronie, gdzie obok latyfundystów z pod znaku konserwatywnego „Czasu” mają zgodnie zasiadać matorolni czy zgoła bezrolni chłopcy i radykalni inteligenci. Tu wchodzi już w grę rzeczywistość i sprzeczne interesy ekonomiczno - socjalne, a żadna ze stron nie zrezygnuje z nich, naturalnie w imię takiego, czy innego punktu deklaracji.

Walka więc rozgorzała na całego. Szef „sektora” wiejskiego „Ozo-

nu”, gen. Galica, gani w swych przemówieniach demagogiczny — zdaniem jego — program „Naprawy” i Zw. Młodej Wsi, oraz krytykuje uchwały zjazdu organizacji „kółek rolniczych”, odbytego pod przewodnictwem posła Dębickiego. Najostrzejsze są jednak ataki konserwy ziemiańskiej na ministra Poniatowskiego. „Czas” zarzuca obecnemu ministrowi rolnictwa uprawianie radykalizmu i posadza go o zmierzanie ku radykalizacji wsi. Min. Poniatowski — zdaniem konserwatyistów — jest przeciwny istnieniu zamkniętych gospodarstw rolnych i zasadzie niepodzielności gruntów. „Czas” posuwa się tak daleko, że sugeruje kolizję pomiędzy linią O. Z. N. a min. Poniatowskim: „Albo trzeba zmienić linię O. Z. N. — wola organ Nieświeża i Dzikowa — albo dokonać zmiany na stanowisku ministra rolnictwa. Inaczej pomiędzy p. Poniatowskim, cieszącym się rzekomo zaufaniem najwyższych autorytetów, a O. Z. N., któremu te same autorytety patronują rozgorzeje walka”.

Walka ta rozgorzała istotnie. „Sanacyjno” - konserwatywny poseł Hutten-Czapski nie zawahał się zgłosić interpelacji, której wyrażnym celem miało być podważenie zaufania kół rolniczych do ministra rolnictwa. Minister rolnictwa nie zawahał się też ze swej strony przed użyciem środka nie mniej drastycznego, rozwiązując białostocką Izbę Rolniczą, w której zasiadali niemal wyłącznie wiejszy działacze „Ozonu”, co w konsekwencji doprowadziło do demonstracyjnej dymisji szefa białostockiego „sektora” wiejskiego.

Alte teren wiejski nie jest jedynym odcinkiem walk wewnętrznych w łonie zdekomponowanej „sanacji”. Daleko więcej obiektywnie słusznego oburzenia i rozgoryczenia wyładowało się ostatnio w szeregach prawdziwych piśsudczyków z powodu kursu młodzieżowego „Ozonu”, którego jaskrawym symbolem jest mianowanie oenerowca z „Falangi” wicewodzem młodo - ozonowego Związku Młodej Polski. Dosadnie pisze o tym „KRAKOWSKI KURIER WIECZORNY”: „Ta sama młodzież, której wyczyny na terenie uniwersytecko-petardowym tak silnie były potępiane przez czynniki rządowe i przez prasę rządową — ta sama młodzież z „Falangi” awansuje do roli stosu pałacowego „Młodej Polski”, która ma stać się przyszłością narodu, jego kierownikiem duchowym, przyszłym rządem państwowym”. A nieco dalej: „Czy można taką „politykę” nazwać poszukiwaniem idei, czy raczej zabieganiem o interes — wszystko jedno: indywidualny, czy partyjny? Czy można nazwać ideą dzielenie się władzą z

ludźmi, których dotychczas praktykowaną ideą było grzmocenie konkurentów do przyszłej praktyki adwokackiej, lekarskiej, technicznej?” Krytyka, jak widzimy wcale ostro i wcale słuszną.

Nie mniej ostro krytyka rozlega się ze szpału „JUTRA PRACY”, pisma grupy zbliżonej do p. SŁAWKA:

„Ani wysiłki rządu, ani dwuletnia już praca izb ustawodawczych, ani deklaracja O. Z. N... nie doprowadzają do zmontowania i skonsolidowania istotnego decydującego nurtu myślowego i inicjatywy twórczej społeczeństwa”. Bardzo słusznie, dziwić się tylko wypada, że sławkowcy krytykują ten obecny sejm — twór p. k. Sławka. Czyżby „samokrytyka”?

„Ale silniejsza od samokrytyki jest u odsuniętych od wpływu „pułkowników” krytyka tych, co zajęli ich miejsce u steru rządu: „Czyż nie widzisz, że pupile jednego p. ministra biją w dwóch innych pp. ministrów, a tamten chociażby mógł zapobiec temu kiwnięciem palca, nie kiwa... Ich szef niczego nie zauważa, bo pisze akurat pamiętnik. Byczo jest!” W Polsce pewne powiedzenia polityków popularyzują się i utrwalają w pamięci szerokiej publiczności, cytując więc je, ot tak sobie, „Jutro Pracy” czyni całkiem wyrazne aluzje.

Zakończenie artykułu sławkowskiego pisma jest już jednak czymś więcej, niż subtelną aluzją: „Zmeczyłeś się, zestarzałeś się, zdarłeś się — odejść. Tę receptę trzeba zapisać ludziom publicznym wszystkich szczebli, ale bodaj że najpilniejszą jest ona w górnych sferach”. Tak wygląda po 6 miesiącach „Ozonu” spełnienie pierwszego zadania, w imię którego został powołany — usunięcie dekompozycji w szeregach obozu rządzącego...

Jak wygląda więc realizacja DRUGIEGO celu O. Z. N. — jak przedstawia się sprawa „zjednoczenia”? Jeszcze fatalniej. Cytowaliśmy już opinię „Myśli Polskiej”, słusznie podnoszącej, że zasięg nowej organizacji nie przekracza „ugorów” po B. B. W. R. i aparatu administracyjnego z przyległościami”. Publicysta „sanacyjny” nie ukrywa też przyczyn tego zjawiska: „Dotychczasowe enuncjacje i praca polityczna kierownictwa O. Z. N. nie przełamały nastrojów nieufności i stanu bierności mas polskich”. Czemu? Bo „zagadnienie pracy nad zjednoczeniem narodowym w Polsce to zagadnienie nie takich, czy owakich trików organizacyjnych - duszołapskich, lecz zagadnienie planu ideowego, wokół którego będzie się dokonywało zjednoczenie”.

A jak jest z tym planem? Bardzo niedobrze. I znowu nie tylko z naszego demokratycznie - opozycyjnego punktu widzenia — ale właśnie w oczach stuprocentowych piśsudczyków i „sanatorów”. My od miesięcy wytykamy „sanacji”, że ze szlaku Józefa Piłsudskiego chyłkiem przechodzi na manowce Romana Dmowskiego — dziś grzmia przeciw temu piśsudczycy! Pan Kopeć „sanacyjny” poseł do tego sejm pisze w artykule „TEGO JUŻ ZA WIELE w „DZIENNIKU PORANNYM”:

„Nie przypadek był przyczyną, że z tej samej ławy szkolnej część młodzieży w zaraniu Niepodległości wypisała na swych sztandarach imię Romana Dmowskiego, a inna część imię Józefa Piłsudskiego. Nie przypadek decydował o tym, iż część młodzieży, obrzucała grudkami błota powóz Prezydenta Rzeczypospolitej, gdy inna część walczyła w obronie Głowy Państwa na placu Trzech Krzyży. Nie drobna fantazja dyktowała jednym tworzyć w Poznaniu legię akademicką przeciw Piłsudskiemu, a innym brać udział w zamachu majowym. O takim, czy innym stanowisku decydowała bowiem cała postawa danego młodzieńca. Postawa ta kształtowała się w dwóch odmiennych środowiskach, odmiennych ideologiach, w dwóch szkołach politycznego myślenia: jednej Romana Dmowskiego, a drugiej Józefa Piłsudskiego.

„My młodzi piśsudczycy nie jesteśmy jeszcze dość siwi, abyśmy musieli robić miły wyraz twarzy do naszych rówieśników ze szkolnej ławy, którzy znaleźli się pod sztandarami Romana Dmowskiego. Nie stać nas na koncesję ani z założeń ideowych, ani z naszej tradycji. Nie pozwolimy również na historyzoficzne mędrkowanie, nad wartością ideologii niepodległościowej, która była i jest fundamentem naszego światopoglądu politycznego. I to zrozumieć winni nie tylko pan Rutkowski i pan Zarzycki, ale i ci, z których nauk przejmowaliśmy ideologię niepodległościową”.

Do tego wszystkiego kosztowne koncesje ideologiczne, prestiżowe i moralne na rzecz różnych pp. Rutkowskich nie doprowadziły do niczego. Nie przyciągnęły młodych, naprawdę wartościowych i twórczych elementów do obozu „sanacyjnego” — a pogłębiły tylko jego wewnętrzną dekompozycję. Wszystko to nie są tylko nasze poglądy, których tym razem celowo nie wypowiadaliśmy — ale opinie, oceny i ostrzeżenie piśsudczyków. Tak w Ich oczach wygląda półrocze działalności „Ozonu”, tak ONI oceniają rzeczywistość. Jakież wnioski na przyszłość wyciągną z tej rzeczywistości?

SZALOM ASZ

S Y N

NOWELA

Czworokątny rynek w miasteczku otaczają ze wszystkich stron niskie, wybielone domki. W jednopiętrowym domu, stojącym naprzeciw studni, znajduje się piekarnia; z komina ulatują gęste słupy dymu i opadają ciężko na rynek. Poprzez dym widać stado gołębi; wzbija się ono w górę i opada na dół. Chłopek stoi przed domem i przyzywa je urywanym gwizdem.

Na przeciw studni stoją stragany, zbudowane z drzew, opartych poziomo na dwóch krzesłach. Na straganach rozłożone są owoce i warzywa. A przy nich stoją kłótlive przekupki, o zmęczonych, ogorzałych twarzach, owinięte chustkami.

— A jakże mi wypadła, bym się kłóciła z taką żebraczką. Wszak nie posiadasz nawet tego, co wart jest mój śmietnik, lachmaniarko.

Jenta, czterdziestoletnia kobieta, z której ust padły te słowa, odziana jest w brudny fartuch, a jej szeroka, opalona twarz, wyziera z pod chustki.

— Co myślisz? Boga za brodę chcesz złapać? Należy tak samo do mnie, jak do ciebie — odpowiada jej Tojba i gniewnym ruchem nasuwa nisko chustkę na czoło.

Jakaś kupująca podeszła do straganu Jenty. Tojba tymczasem obsypywała sąsiadkę stekiem kłąt i wyzwisk.

— Co mi po twoich pieniądzach, wielka pani! Umrzesz, a nawet pies na twoim grobie kadisz nie odmówi...

W ten sposób chciała Tojba pochwycić się przed swoją rywalką, swoim ukochanym synem Jicchakiem.

Pomyślała jednak, że nie wypada się samej chwalić i urwała w połowie zdania. Jenta tymczasem wymierzyła kwartę gruszek i odpowiedziała Tojbie:

— A jakże, gdybyś człowiekiem była, toby twój mąż przez ciebie nie umarł, a twoje własne dziecko nie wstydziliby się tobą.

Tak on się wstydzi tobą!

Tojba poczerwieniała:

— Ty bezczelna kobieto! Moje dziecko wstydzi się mną?! Nie warta nawet jesteś, aby jego imię wypowiedzieć.

Na płacz jej się zbierało, tak zabolęły ją słowa, że mąż jej umarł przez nią, a własne jej dziecko... Mój Boże! Co za ohełga!

Nie chciała jednak by Jenta cieszyła się z jej łez więc z całym siłą powstrzymała się od płaczu.

Słońce powoli staczało się na zachodni kraniec nieba, aż wreszcie znikło za domami. Żydzi prędko przechodzili przez rynek i spieszyli do bóżnicy na modlitwę „Mincha“. Przy studni zaczęli się gromadzić chłopcy, których dopiero teraz wypuszczono z chederu.

Tojba wzięła swoje koszyki na rękę (drzwi i krzesła zostawiła na rynku. Nikt ich nie zabierze). Na pożegnanie rzuciła kilka przekleństw Jencie i odeszła do domu.

Myślała o swoim Jicchak'lu. Nie mogła zapomnieć słów Jenty. To, co mówiła, że przez nią umarł mąż, to ją mało obchodzi. Wszyscy dobrze wiedzą, jak walczyła o to, aby go śmierci wydrzeć. Lecz dlaczego powiedziała, że Jicchak'ł wstydzi się nią? Słowa te ukłuły ją w same serce. I rzeczywiście zdaje się jej, że kiedy przychodzi na noc do domu, niczego nie chce spożyć u niej...

A gdy o tym pomyślała, znów zaczęła przeklinać Jentę. Boże wszechmocny! Żeby nie dożyła tego! Ojciec miłosierny!

Zdawało się jej, że właśnie Jenta, ta czarownica sprawiła, że Jicchak'ł wstydzi się własnej matki.

Moje dziecko, mój Jicchak'lu! Co się ona jego czepia.

I znów podniosła głos:

— Boże miłosierny, stań w mojej obronie! Przecież jesteś ojcem sierot, nie podaruj jej tego.

— Komu to? Kogo tak przeklinacie, Tojbo? — zagadnęła ją bogaczka Necha, która stała właśnie w progu swego sklepu bławatnego i słyszała jak Jenta głośno klunie.

— Kogo? właśnie tę moją gospodynię, tę bezczelną kobietę, niech ją lichy weźmie! — I wskazała palcem w stronę straganów na rynku.

Tojba poszła dalej i przypomniała sobie, że kiedy dziś przyniosła kurę do kuchni Nechy, usłyszała w pokoju głos Iicchaka, który rozprawiał z dwoma synami Nechy o jakiejś kwestii talmudycznej. Wiedziała, że Iicchak jada zawsze w środy u Nechy i dlatego umyślnie przyniosła jej kurę na sprzedaż, aby Iicchak dobry miał rosół, biedaczek taki słaby jest!

A gdy usłyszała z pokoju głos Iicchaka, chciała nawet odejść, ale mimo to nie wyszła; przecież o jej Jicchak'lu mówi tam takie „uczzone“ słowa z talmudu. Co tam przy nim umieją dzieci Nechy! Do kolan mu nie dostają.

— On się zawstydzi — myślała sobie, — kiedy mnie tu zastanie z tą kurą. — Jego matka jest straganiarka; zaszczytne pochodzenie!

A mimo to nie wyszła z kuchni.

— Nawet jeszcze mnie nie kosztował, a ile to pieniędzy Necha wydaje na swoich synów?

Gdyby miała te pieniądze, które powinien ją być Jicchak'ł kosztować, wielką byłaby bogaczką — stała i przysłuchiwała się jego głosowi.

— Oj gdyby mąż żył i mógł słyszeć, jak Jicchak'ł mówi, zaraz by wyzdrowiał.

Drzwi otworzyły się i wszedł Jicchak'ł z obydwojoma synami Nechy. Twarz jego płonęła.

— Dzień dobry! — powiedział cichym głosem i wyszedł prędko. Wiedziała, że sprawiła mu zmartwienie. On zawstydził się przed synami Nechy.

Jej dziecko, jej Jicchak'lu! Co chce od niego Jenta! Cały swój żal, całą swoją gorycz przelała w przekleństwa i miotła je na Jentę.

— Boże wszechmocny! Nie pozwól mnie skrzywdzić! Odpląć jej za to! Oby nie przeżyła tej nocy.

Przechodnie śmieli się, widząc, że idzie sama i klunie na głos, niewiadomo na kogo.

Zapadła noc. Tojba wniosła koszyki po schodach i otworzyła drzwi swej izdebki.

— Mama, mama! — przywitały ją głosy dziecięce.

Pokój był zakopcony, zadymiony. Dzieci otoczyły Tojbę i krzyczały jedno przez drugie: mama! Jeden głos był płaczliwy: „gdzie tak długo byłaś, mammo?“, drugi głos wesół: „jak dobrze, że już przyszłaś mammo!“

— Cicho bądźcie! Dajcie mi chociaż odsapnąć — krzyczy kobieta, odstawiając kosze.

Podeszła do kuchni, poszukiwała na niej czegoś poomacku, i — oto za chwilę pokój rozjaśniła, mała, zakopcona lampka. W pokoju stała obok łóżka zakopcona maszyna do szycia, pozostała po jej mężu, krawcu, na łóżku, na ścianie leżały rozłożone owoce. Reszta izby tonęła w mroku.

Dopiero półtora roku minęło, gdy umarł jej mąż. Lejzer. Już pod koniec życia jego, kiedy kaszel coraz bardziej go męczył, zaczęła Tojba zarabiać na utrzymanie rodziny, a w miarę, jak stan jego zdrowia pogarszał się, musiała coraz cięższej harować. A gdy owdowiała była już przyzwyczajona do ciężkiej walki o chleb codzienny.

Najstarszy syn Jicchak'lu dobrą miał głowę, był jedyną osłoda znojnego życia krawca Lejzera, a gdy był już konający pocieszał się myśląc, że taki syn po nim kadisz odmawiać będzie.

A gdy Lejzor umarł, sąsiedzi zlitowali się nad biedną wdową, zebrali dla niej trochę grosza, aby miała czym handlować, Jicchaka zaś oddali na naukę do bet-hamidraszu, postarali się dla niego o utrzymanie. I odtąd jadał co dzień u innego bogacza w miasteczku.

A stara wówczas mówiła:

— Biedactwo słaby jest i wątlwy. Z czegoby on u mnie żył? A tam u ludzi dostaje najlepsze przysmaki.

Ale w głębi serca bolało ją, że Jicchak'ł jada u obcych ludzi. Nie wiedziała sama, czy wyświadczono jej przez to przysługę, czy krzywdę...

Pewnego dnia, gdy stała na rynku przy swoim straganie zobaczyła, jak Jicchak'ł wyszedł z bóżnicy z woreczkiem na „tefilim“ pod ramieniem, wszedł do domu bogatego Szmula na śniadanie. Ścisnęło się jej serce na ten widok. Wtedy dobrze jeszcze żyła z Jentą, gdyż po śmierci męża wszyscy litowali się nad nią. Powiedziała wówczas do niej:

— Wierz mi Jenta, że sama nie wiem, za co mam pretensje do ludzi, przecież dobrze ze mną się obchodzą a i dziecku memu pomagają. Postarali się dla niego o utrzymanie w bogatych domach i traktują go tak, jakby nie był synem straganiarki, lecz jakiego bogacza. A jednak, gdy dają dzieciom obiad w domu, zapominam się zawsze i stawiam również talerz dla mojego Jicchaka. A gdy sobie pomyślę, że on u mnie nie jada, to płaczę wówczas jak małe dziecko.

— E, tam, głupia z ciebie kobieta — odpowiada jej Jenta. Na człowieka wyrósłby u ciebie? Co może biedak dać do zjedzenia swemu dziecku?

— Tak, masz słuszność Jenta, ale kiedy rozdzielam dzieciom obiad serce mi się kraje.

I teraz, kiedy siedziała przy kuchni i gotowała dzieciom wiececzkę, myślała o tym samym. Coś jej się zdawało, że zabierają jej dziecko.

A gdy dzieci położyły się spać, postawiła lampkę na stole i zaczęła cerować koszulę syna.

Otworzyły się drzwi i Jicchak'ł wszedł do pokoju.

Jicchak'ł to czterastoletni, wyrosnięty i chudy chłopak. Jego blada twarz odcina się od czarnej jarmułki i kaputki.

— Dobry wieczór — powiedział cichym głosem.

Matka ustąpiła mu swego miejsca. Czuli, że winna szacunek swemu dziecku, choć nie wiedziała dlaczego. Zdawała sobie sprawę, że ona i nędza, w której żyje, są nieszczęściem dla niego.

Wyjął z szafy książkę, usiadł przy stole i zaczął czytać.

Matka przekreśliła knot w lampie, aby się jaśniej paliła, przetarla szkło fartuchem i bliżej lampę przysunęła.

— Chcesz Jicchak'lu szklankę herbaty? pyta nieśmiało matka, chcąc mu się czymś przysłużyć.

— Nie, nie dawno piłem.

— Może jabuszek?

Milczał.

Matka otarła talerz i położyła na nim kilka jabłek i róż. Powoli, z powagą, jak człowiek dorosły obrał sobie jabłko, odmówił głośno „błogosławieństwo“ i zaczął jeść.

A gdy Jicchak'ł jadł jabłko, Tojba bardziej poczuła się matką jego i odważniej przysunęła się do niego.

A gdy Jicchak'ł obierał sobie jabłko, odezwał się do matki:

— Mówiłem dzisiaj z „dajanem“ o moim wyjeździe. W tutejszym bet-hamidraszu niema dla mnie roboty, nie ma u kogo się uczuć. Radził mi, abym pojechał do „jeszywy“ w Kutnie, da mi list do „rosz-jeszywy“ rabi Chaima, aby się ze mną zapiekował.

Tojba usłyszała, że Jicchak'ł chce ją opuścić i przestraszyła się bardzo. Ale słowa hebrajskie, „dajan“ „rosz-jeszywa“, których dobrze nie rozumiała wzbudzały w niej wielki respekt, i pojęła, że musi odnieść się z wielką powagą do wyznaczonych słów. Wkrótce słowa te uspokoiły ją bardzo: Jicchak'ł radzi się jej, pyta się matki o zdanie...

— Trudno, jak „dajan“ każe — odpowiedziała z pobożną miną.

— Tak — mówi dalej Jicchak'ł — tam uczą „szeur“ i wszy-

stkich „mefarszim“ od razu. Rabi Chaim, który sam napisał „Or Tora“ jest wielkim uczonym. Tam można wyrosnąć na człowieka.

Słowa te uspokoiły ją zupełnie, czuła się szczęśliwa i podniesiona na duchu. To jest jej dziecko — ona jest matką takiego dziecka, i gdyby nie ona, toby wcale go nie było... Tylko serce krajało się — i posmutniało...

Potem przypomniała sobie męża i zaczęła płakać:

— Gdyby chociaż żył, gdyby chociaż dożył tej pociechy — wzdychała.

Rano zbudziła się późno, Jicchaka nie było już w domu. Prędko dała dzieciom śniadanie i poszła do swego straganu, na rynek. A gdy tak się zamyśliła, wydało jej się, że siedzi obok swego syna: jest znanym rabinem w wielkim mieście; ma na nogach białe pończochy i miękkie pantofle, futrzany kołpak na głowie, a w ręce książkę, do której zagląda. Ona zaś siedzi po jego prawicy i robi pończochę na drutach. Drzwi otwierają się i wchodzi Jenta z talerzykiem w ręce. Pyta rabin o tref i koszer.

Kupujące obudziły ją ze słodkiej zadumy.

Całe noce przesiadywała teraz Tojba przy stole i przy świetle zakopconej lampki latała i naprawiała koszule Jicchaka. Przygotowywała go do drogi. Przy każdym pociągnięciu igły pamiętała, że szyje koszulę dla swego Jicchak'lu. Pojeździe do obcego miasta, będzie uczył się w wielkiej jeszywie, a w każdy piątek ubierze koszulę, którą uszyła mu matka.

Jicchak'ł zaś siedział po drugiej stronie stołu i zaglądał do książki.

Tojba wstała z Jicchakiem o świcie.

Jicchak'ł pocałował śpiących braciszków, zaspanym siostrzyczkom powiedział tylko: „bądźcie zdrowe“. Najmłodsza siostrzyczka zbudziła się i zaczęła płakać, że też chce pójść odprowadzić Jicchaka. Matka uspokoiła ją, potem podniosła skrzynkę Jicchaka i razem wyszli z domu.

Miasto całe spało jeszcze. Okienne były przymknięte. Nad wieżą kościoła świeciła jeszcze gwiazda poranna i zimnym blaskiem opromieniała rosę na dachach. Cisza była zupełna, tylko na rynku stała już fura z owocami, która kobiety obległy wokół, a zdaleka słychać było głos Jenty:

— Pięć złotych i dziesięć groszy, kupię wszystkie owoce.

A gdy matka ze skrzynką Jicchaka przechodziła przez rynek, dumnie spojrzała na Jentę.

Wyszli za miasto, na drogę i czekali na furmankę do Łęczycy.

Stamtąd miał Jicchak'ł dalej pojechać do Kutna.

Niebo było zimne i szare. Z szarych ugorów wznosiły się ku niebu sine opary. Mileżąca, cicha droga ciągnęła się daleko, jak okiem sięgnąć.

Przystanęli przy szlabanie i czekali na furmankę.

Matka wyjęła z kieszeni kilka miedzaków, owinęła je w gałganek i kazala Jicchakowi schować za koszulę, na sercu.

Nadjechała bryka, pełna pasażerów. Matka wytargowała się o miejsce za czterdziestkę dla Jicchaka i umieściła jego skrzynkę na wozie.

— Jedź zdrow! Nie zapominaj matki! — mówiła do niego z płaczem.

Jicchak milczał.

Chciała swe dziecko ucałować, lecz zrozumiała, że nie wypada pocałować dorosłego chłopaka i powstrzymała się.

Jicchak'ł wgramolił się na brykę

— Bądź zdrowa, mammo! — zawołał, gdy bryka ruszyła z miejsca.

— Jedź zdrow, dziecko! Ucz się dobrze i nie zapominaj matki. — wołała Tojba za oddalającą się furą.

Fura oddalała się coraz szybciej, wjechała na górę, widoczną zdaleka i zniknęła za nią.

Tojba ciągle jeszcze stała w tym samym miejscu. Wreszcie powolnym krokiem zawróciła do miasta.

Szła okreśną drogą, aby mogła przejść przez cmentarz.

Niski parkan, z desek zbity okalał dookoła cmentarz. Liche, niskie pomniki, zadumane spoglądały w niebo.

Wlazła na wystającą żerdź w płocie, przechyliła głowę w stronę cmentarza i przez chwilę szukała czegoś oczyma między pomnikami. Zauważyła wreszcie, niski znany jej dobrze kamień nagrobny. Potrząsnęła głową w tę stronę i zawołała:

— Boruch, Boruch! Twój syn pojechał do jeszywy uczyć się Tory.

Zaraz jednak przypomniała sobie swój stragan na rynku. Jenta pewnie odkupiła wszystkie owoce. Nic dla niej nie zostanie. Pośpieszyła do miasta.

Szła prędkim krokiem i bardzo była z siebie zadowolona. Czuli, że dokonała czegoś doniosłego, a myśląc o tym zapomniała, że Jenta wykupiła wszystkie owoce.

Po dwóch tygodniach otrzymała list od Jicchaka. Sama czytać nie umie, poszła więc z listem do melameda rabi Jochana, aby jej przeczytał.

Rabi Jochanan nałożył okulary, odkasznął i zaczął głośno list czytać:

„Leimi ahuwati hacnu...“ (do mojej ukochanej matki skromnej i...)

— Co to znaczy? — spytała Tojba.

— To nagłówek listu... do matki... — odpowiada rabi Jochanan i czyta dalej.

Twarz Tojby rozpromieniła się. Podniosła fartuch do oczu i zaczęła płakać.

Rabi Jochanan dalej czytał list pisany w mowie świętej.

(dokończenie na str. 7-mej)

Władysław Konic

„Rzecznik nadziei Syjonu i niedoli narodu swojego“. — Od tych słów zaczyna się epitafium na pomniku Jana Kirszrota, którego dwudziestopięcioletnie przedczesne zgonu przypada w dniu 11 sierpnia.

Urodził się w Warszawie dnia 9 marca 1879 roku z ojca Marcina i matki z Mazurów. Rodzina Kirszrotów należy do jednych z najstarszych rodzin warszawskich i od najdawniejszych lat ubiegłego stulecia odgrywała w życiu żydowskim poważną rolę. Ojciec Jana Kirszrota, Marcin, był powszechnie szanowany ze względu na swój niepozakony charakter, matka reprezentowała typ prawdziwej matrony.

Srodowisko domowe wpłynęło poważnie na charakter i kulturę nieodżałowanej pamięci Jana. Wychowanie otrzymał bardzo staranne. Początkowo uczęszczał do gimnazjum realnego w Warszawie, a w chwili ukończenia tegoż wyjechał do Niemiec, gdzie wstąpił w Charlottenburgu na tamtejszą politechnikę, słynną z wysokiego poziomu naukowego. Zapisał się na wydział budowy maszyn, na którym pilnie studiował. Równocześnie jednak zajmował się pracą społeczną.

A było to w roku 1897 kiedy na zew Teodora Herzla zebrał się pierwszy Kongres Syjonistyczny w Bazylei.

Jan Kirszrot wrażliwy na cierpienia żydostwa, widząc, że asymilacja nie uczyni nie może dla ulżenia doli szerokich warstw ludu, od razu pojął wielkie znaczenie syjonizmu i po powrocie do kraju w roku 1898 już jako student politechniki warszawskiej staje się jednym z najczynniejszych działaczy syjonistycznych. Jest jednym z założycieli pierwszej korporacji syjonistycznej „KADIMAH“ oraz stowarzyszenia „Braterstwo“, mającego na celu pracę kulturalną i samopomocową wśród studentów Żydów na tejże uczelni. Wraz z Janem Kirszrotem zorganizowali „Braterstwo“: Mojżesz Koerner, Michał Król, prof. Alfons Lipiec, Rosenfeld dyr. P.I.C.A. w Palestynie, inż. Nahum Syrkin i wielu innych działaczy na niwie pracy społecznej.

Jan Kirszrot był pierwszym prezesem „Braterstwa“ i na tym stanowisku pracował z pożytkiem dla swych kolegów, niosąc każdemu pomoc. Lecz nie tylko pracował na polu samopomocy akademickiej. Jak już powyżej wzmiankowałem, był jednym z najczynniejszych działaczy syjonistycznych i na tym polu pięknie się zasłużył. A praca na rzecz syjonizmu nie była łatwą w owych czasach, kiedy prawie cała inteligencja żydowska była zasymilowana a warstwy zamożnego mieszczaństwa holdowały również idei asymilatorskiej z racji próżnego snobizmu.

Dla mas żydowskich coś niecoś na polu filantropijnym robiono, ale o kulturę żydowską, o historię ani język hebrajski zupełnie nie dbano, nazywając to przeżytkiem, albo szkodliwym wytworem nacjonalizmu żydowskiego. Na syjonistów patrzano jak na niepoprawnych marzycieli. Nawet dr. Izaak Cylkow, ówczesny kaznodzieja Synagogi na Tomackiem z ambony rzucał gro-

(W DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE ZGONU JEDNEGO Z PIONIERÓW SYJONIZMU W POLSCE)

my na syjonizm, który „zapala strzechy naszych dachów i podkopuje progi naszych domów“. Wyższe warstwy żydostwa polskiego chciały siłą przyniknąć do społeczeństwa polskiego, które już wtedy zaczynało holdować tendencjom antysemityzmu, krzewionemu na łamach „Roli“ przez Jeleńskiego, a kilka lat później głoszonego na wiecach przez przewodzącego Narodowej Demokracji Romana Dmowskiego.

Jan Kirszrot z kilkoma oddanymi idei syjonizmu przyjaciółmi: Izaakiem Grünbaumem, Mojżeszem Koernerem, Noem Dawidsohnem, Zelikiem Wajmanem, Michałem Jahrlumem, Salomonem Seidemanem i Maksymilianem Apolinarym Hartglasem tworzyli pierwszą aktywną awangardę syjonizmu.

Ci młodzi pionierzy narodowego renesansu zwalczali asymilację, zarzucając jej, że pragnie zniszczyć żydostwo, jego kulturę i wszystko to, co tkwi w wzniosłych zasadach naszego narodu. Najczynniej występował Jan Kirszrot. Obdarzony darem krasomówstwa porwał słuchaczy zwłaszcza ze sfer inteligencji i przyciągał ich do ruchu syjonistycznego.

Pamiętnym był Jego referat w jednym z salonów kółkich, (publicznie nie wolno było w owych czasach przemawiać na rzecz syjonizmu) kiedy wygłosił przemówienie na temat „Etyka asymilacji“. Referat ten został wydrukowany w formie artykułu na łamach lwowskiego „Wschodu“.

W roku 1899 zmuszony został na skutek czynnego udziału w ogólnym rosyjskim strajku studenckim opuścić granice Królestwa Kongresowego.

Po powrocie kończy politechnikę z tytułem inżyniera mechanika i wyjeżdża do Niemiec, gdzie studiuje taktwo w Chemnitz, następnie w Reutlingen, poczyni wraca do kraju i bierze nadal czynny udział w życiu syjonistycznym. Był jednym z założycieli kółka, poświęconego badaniu literatury żydowskiej i gorliwym uczestnikiem dyskusji na temat twórczości pisarzy żydowskich.

W roku 1904 wydaje przepiękną książkę zbiórą p. n. „Safrus“, poświęconą idei odrodzenia narodu żydowskiego, której i dziś jeszcze bez wzruszenia nie można wziąć do ręki — tak przepięknie bowiem została zredagowana ta księga pamiątkowa. Prawie wszyscy najwybitniejsi działacze syjonistyczni zamieścili w niej artykuły. Wydanie i ukazanie się „Safrus“ uczyniło wielkie wrażenie wśród zasymilowanych Żydów polskich. Wielu z nich zaczęło się bardziej interesować zaga-

dnieniem kwestii żydowskiej, w myśl dążeń odłamu narodowego. Jan Kirszrot zamieścił w „Safrus“ bardzo szczegółowo i starannie opracowany artykuł, poświęcony zagadnieniu produktywizacji żydostwa polskiego.

Brał udział jako delegat w kongresach syjonistycznych i został również wybrany delegatem na zjazd w Helsingforsie, który uchwalił program walki o prawa narodowościowe Żydów w diasporze.

W roku 1906 zaślubił Helenę Koerner, siostrę swego przyjaciela i współtowarzysza walki o syjonizm, Mojżesza Koenera.

W tymże roku objął posadę dyrektora nowotworzonej szkoły rzemieślniczej dla młodzieży żydowskiej w Łodzi. Szkoła ta została wybudowana przez znanego przemysłowca łódzkiego Zygmunta Jarocińskiego. Na polu pedagogiki wykazywał Jan Kirszrot niezwykły talent organizacyjny i pedagogiczny. Postawił szkołę rzemieślniczą na bardzo wysokim poziomie i zaprowadził dział taktwa, którego brak dał się dotkliwie odczuwać w tym centralnym ośrodku przemysłu włókienniczego. Dzięki Janowi Kirszrotowi powstała pierwsza szkoła taktwa w całym kraju, gdyż do tej pory, a nawet do samej wojny Łódź była pozbawiona szkoły tego typu.

Dbał bardzo Jan Kirszrot nie tylko o fachowe przygotowanie swych uczniów, ale wpływał silnie na poziom intelektualny i moralny swych wychowawców, pragnąc aby wyrosło z nich nowe pokolenie żydowskie, które by później myślało o pracy dla swego narodu. Nie trudno Mu to przyszło; uczniowie ocenili szybko walory swego dyrektora. Jego kryształowy charakter, dobroć, przywiązanie do młodzieży, wpłynęły bardzo na to, że młodzież przywiązała się do swego przewodnika, który całą swą karierę dla niej poświęcił.

Istotnie bowiem młody, wykształcony, z dyplomem politechniki i szkół taktkich, mógł z pewnością Jan Kirszrot, jako dyrektor wielkich zakładów przemysłowych, w krótkim czasie dorobić się znacznej fortuny. Lecz szlachetna natura nie pozwoliła mu zająć stanowiska w świecie wielkiego przemysłu. On postanowił wychować młode pokolenie żydowskie tak, aby później mogło pracować dla Palestyny, jako produktywny i twórczy element. Szkoła rzemieślnicza rozwijała się coraz lepiej, dzięki Jego nieprzeciętnej inicjatywie i niezmiernie pracowitej i zdoła-

ła skupić w swych murach młodzież, nie tylko najbiedniejszą, bo nawet zamożni rzemieślnicy żydowscy i kupcy łódzcy posyłali swych synów, aby pod kierunkiem Jana Kirszrota wyrzucili na dobrych i dzielnych fachowców.

Powstała więc w Łodzi przedwojennej, podczas największej koniunktury, bogata warstwa rzemieślników Żydów, która dorobiła się w krótkim czasie majątku. Jan Kirszrot zwrócił uwagę na to zjawisko i powziął myśl zorganizowania szerokiego rzesz rzemieślniczych w jedno stowarzyszenie. Dzięki więc Janowi Kirszrotowi powstała pierwsza żydowska organizacja rzemieślnicza na ziemiach polskich pod nazwą Żydowski Klub Rzemieślniczy w Łodzi. Stowarzyszenie to miało na celu towarzyskie i fachowe podniesienie rzemieślników żydowskich. Organizacja ta stała się osnową ruchu rzemieślniczego żydowskiego, który tak ważną rolę odgrywa w życiu żydostwa polskiego. Był więc twórcą żydowskiego ruchu rzemieślniczego w Polsce i brał czynny udział, gdy chodziło o opiekę i pomoc dla rzemiosła. W klubie rzemieślniczym w Łodzi wygłaszał sam referaty na tematy zarówno naukowe jak i mające na celu uświadomienie o idei narodowej.

Gdy w roku 1910 odbył się zjazd w Petersburgu mający za zadanie ochronę i pomoc wszystkim rzemieślnikom Żydom, zamieszkującym olbrzymie terytorium całego państwa rosyjskiego, Jan Kirszrot należał do najczynniejszych członków tego tak pożytecznego zjazdu, na którym wygłosił wspaniały referat o stanie rzemiosła żydowskiego na terenie kongresówki.

Nie było ani jednej instytucji mającej na celu walkę o potrzeby i pomoc dla żydostwa, do której by nie należał.

Na kongresach syjonistycznych godnie występował, przedstawiając zebranym delegatom rozpacziwą sytuację mas żydowskich we wschodniej Europie. Wzywał do szybkiej realizacji odbudowy Erez-Isra'el — aby wreszcie po długiej tułaczce i cierpieniach dla żydostwa zabyła na własnej ziemi praojcowi nową jutrzienkę swobody i odrodzenia duchowego.

Niestety nieślubna choroba trawiła Jego wątły organizm. Wyjechał do Frankfurtu nad Menem, aby ratować swoje zdrowie, ale pomimo usilnych zabiegów i starań najwybitniejszych lekarzy zmarł dnia 11 sierpnia 1912 roku.

Śmierć nieślubna przecięła pasmo tak młodego, bo dopiero w trzydziestym trzecim roku tak pięknego i pełnego zasług życia, w chwili, kiedy żydostwo nie tylko polskie, ale i w całej Rosji przeżywało najcięższe swe dzieje. W tym bowiem tragicznym roku, miał miejsce proces Bejlisa, a kilka miesięcy po tym odbyły się wybory do Dumy Carskiej i Narodowa Demokracja ogłosiła bojkot ekonomiczny i kulturalny Żydów polskich, osiadłych od stuleci na ziemiach polskich i zno-

szącym razem z narodem polskim wszystkie jego cierpienia.

W chwilach tak ważnych i tak groźnych zabrakło żydostwu polskiemu Jana Kirszrota. Zgon Jego wytworzył lukę niezastąpioną w dziejach syjonizmu polskiego.

Wszyscy wiedzieli, że ze zgonem Jana Kirszrota odszedł nie tylko wielki bojownik o sprawę żydostwa, ale odszedł człowiek o krystalicznym charakterze o anielskim sercu, który wszystko poświęcił, aby tylko służyć sprawom poświęconym o wyzwolenie swego narodu.

Zwłoki sprowadzono z Frankfurtu do rodzinnej Warszawy i tu z rampy dworca wiedeńskiego (obecnie głównego) odbył się uroczysty pogrzeb.

W pogrzebie brali udział wszyscy bez różnicy przekonań partyjnych. Czuli że idą za trumną człowieka, który w dziejach żydostwa polskiego zasłużył się nieśmiertelnie.

Wszystkie gazety żydowskie poświęciły zmarłemu piękne wspomnienia, a na specjalną uwagę zasługują artykuły „Izraelity“, który w artykule o zmarłym podkreślił szlachetność Jego charakteru i wielkie zasługi dla ruchu rzemieślniczego. Na trumnie złożono wiele wieńców, a między nimi wieńiec od rzemieślników chrześcijan z m. Łodzi.

W I. rocznicę zgonu postawiono na grobie pomnik, na nim w brązowej tablicy wyryto następujący napis:

Rzecznik Nadziei Syjonu i Niedoli Narodu Swojego.

B. P.

Jan Kirszrot

inżynier - technolog

dyrektor łódzkiej szkoły rzemiosł

urodzony w Warszawie dnia 9 marca 1879 roku, zmarł w Frankfurtu nad Menem dnia 11 sierpnia 1912 roku.

Dwadzieścia pięć lat minęło od chwili, kiedy Jan Kirszrot zeszedł z tego świata. Dużo się od tego czasu zmieniło. Idea syjonistyczna, której tak wiernym był rzecznikiem urzeczywistnia się. Na ziemi naszych ojców powstały miasta i osiedla żydowskie. Kwitnie tam kultura hebrajska na górze Scopus.

Spełniło się Jego marzenie i cel Jego walki, o którą toczył bój przez całe swe młode życie.

Dla nowego i młodego pokolenia syjonistów postać szlachetnego Jana Kirszrota jest przykładem w walce o syjonizm nie tylko polityczny, ale i duchowy. I właśnie dziś, kiedy mija ćwierć wieku od Jego zgonu obowiązkiem społeczeństwa żydowskiego w Polsce jest uczcić Jego pamięć trwałym pomnikiem przez stworzenie szkoły i fermy rzemieślniczo - rolniczej imienia Jana Kirszrota. Pamiętajmy o długu wdzięczności wobec tego szlachetnego Człowieka i zasłużonego Syna swego narodu.

STER jest organem żydów. myśli demokratycznej
STER jest tygodnikiem inteligencji żydowskiej
Czytajcie i rozpowszechniajcie S T E R

SZALOM ASZ

S Y N

NOVELA

(dokończenie ze str. 6-tej)

— Co to znaczy — pyta ciągle Tojba.

— To nic, to nie dla was, nie zrozumiecie tego, to jest „pszet!“ sofizmat.

Milczała. Słowa mowy świętej zdjęły ją trwogą i w po-bożnym skupieniu wysłuchiwała list do końca.

„Pozdrawiam matkę moją ukochaną, siostrzyczki Sorele, Goделе. Jakow niech się dobrze uczy, co dzień jadam u kogoś innego, śpię u rabi Chaima“.

Przeczytała nagle rabi Jochanan po żydowsku.

Tojba zadowolona się tymi kilkoma słowami. Zabrała list, włożyła do kieszeni i bardzo uradowana poszła na rynek.

— Wieczorem — myślała sobie — pójdę do dajana, żeby mi jeszcze raz list przeczytał.

Wieczorem gdy wróciła do domu, szybko ugotowała dzieciom kolację i poszła z listem do dajana.

Weszła do pokoju. Wokoło ścian stały długie półki z książkami. Przy stole siedział człowiek z długą, białą brodą i zagłąda do książki.

— Z czym przyszłiscie, kobieto?

— Z listem od mojego Jicchaka.

Dajan wstał, podszedł do niej, przyjrzał się i wabrał list i zaczął go czytać po cichu dla siebie.

— Świetnie, doskonale. Dobrze... Ładnie rozumie mały... mówi zupełnie do rzeczy.

Tojbie lzy leją się po twarzy.

— Gdyby przynajmniej mój mąż żył! Gdyby dożył tej chwili!

— Szechita chuc... Ramban... Tosafoth ma słuszną, — mówi do siebie dajan.

„Jej Jicchak! syn Tojby straganiarki“ — myśli matka z dumą.

— Macie list — mówi wreszcie dajan — już go przeczytałem.

— No, co?

— Co chcecie?

— Co pisze w liście — pyta cicho Tojba.

— To nie dla was, nie zrozumiecie tego — odpowiada dajan z uśmiechem.

Jicchak! dalej pisze listy, lecz coraz mniej jest w nich słów żydowskich, a coraz więcej terminów mowy świętej. Nie-kiedy tylko pozdrowienie dla matki. — Przychodzi do rabi Jochanana. Rabi Jochanan czyta jej żydowskie słowa, a ona zadawała się tym. „Słowa w mowie świętej są dla dajana“ — myśli sobie.

Pewnego dnia otrzymuje list od Jicchaka.

Tojba przychodzi do rabi Jochanana, aby jej przeczytał. Rabi Jochan an czyta.

— Nic niema dla was — powiada.

— Co znaczy?

— Nic — odpowiada krótko.

— To przeczytajcie mi chociaż to, co jest.

— To w mowie świętej, słowa z Tory, nie zrozumiecie tego.

— To nie rozumiem — ale przeczytajcie —

— Idźcie sobie z Bogiem i nie zwracajcie mi głowy.

Tojba wyszła z zamiarem, że wieczorem pójdzie do dajana.

— Rabi, wybaczcie, przetłumaczcie mi list po żydowsku. Dajan bierze list i czyta go.

— Nic nie ma dla was!

— Rabi — mówi zawstydzona Tojba — przetłumaczcie mi to, co w mowie świętej napisane. Nie gniewajcie się, rabi.

— To przecież Tora, nie zrozumiecie tego.

— To przeczytajcie chociaż list głośno, żebym słyszała.

— Ale przecież nie zrozumiecie, to wszystko w mowie świętej. — uśmiecha się dajan.

— To nie rozumiem. Przecież to Tora mojego dziecka. Mojego Jicchak!.

— Szechita chuc szenitarwa bakodesz... Ramban bahalochth.

Spojrzał nagle z nad listu na kobietę. Co to? Rzeczy, takie odczytuje kobiecie?

— Zabierzcie sobie list. Nic tu niema dla was.

Powiedział do niej ze współczuciem i zwrócił jej list.

— Przecież to Tora mojego dziecka, to list mojego Jicchaka. Dlaczego nie wolno mi słyszeć? Niech nie rozumiem, ale to przecież moje dziecko.

Tojba wróciła do domu. Zdjęła lampę z haka i postawiła na stole i przy jej migotliwym świetle milcząco spoglądała na list.

Całowała go, lecz zaraz pomyślała sobie, że bezczęści go swymi wargami... jest przecież tylko grzeszną kobietą...

Wyjęła z szafy sidur męża i wsunęła list między kartki. Drżącymi wargami całowała oprawę książki i odłożyła napowrót do szafy.

